

- Autor: **Zeydler-Zborowski Zygmunt**
- Tytuł: **Dziewczyna w męskiej koszulce**
- Wydawnictwo: Iskry
- Seria: Ewa wzywa 07
- Zeszyt nr 51
- Rok wydania: 1973
- Nakład: 100275
- Recenzent: [Wiesław Kot](#)
- Recenzja: 89/2011

[LINK Recenzja Norberta Jeziolowicza](#)



"Dżyn" rujnuje milicjanta

Miłe jest każde odstępstwo od rutyny typu: zbrodnia, przesłuchania kolejnych podejrzanych, wpadka. I takie właśnie odstępstwo przydarzyło się Zygmuntovi Zeydler Zborowskiemu w "ewce" "Dziewczyna w męskiej koszulce". Zaczyna się jak u Hitchcocka (nienawidzę banalności tego zdania, lecz tu jest ono na miejscu) -- na komendę na Wilczej wpada rzadkiej urody dziewczyna i do dyżurnego porucznika zwraca się w te słowa: "Ty skurwysynu! Ty łajdaku!" A ponieważ wiadomo -- choćby z 99,7% powieści milicyjnej, że milicjant nie może by tym na "s", więc od razu staje się jasne, że dziewczyna albo zwariowała albo życzy sobie, by ją natychmiast zapuszkować, gdyż grozi jej niebezpieczeństwo niejasne, ale dojmujące. Rzeczywiście. Z tym, że nie zdołała się ona przed nim ustrzec i dźgnięto ją nożem sprężynowym pod lewą łopatkę. W dodatku w asyście dyżurnego sierżanta. Naprawienia tej kompromitacji organów podejmuje się major Downar, który wstępuje na grząski grunt zadawania się z estradowymi chałturszczykami, drobnymi poetami i, jak je nazywają Rosjanie, "okołoliteraturnymi żenszczinami". W powieści noszą one kokietyryjne określenie: "ciziulki". Chałturzyści prowadzą ruchliwy tryb życia, mają nienormowane godziny pracy, za to liczne i fakultatywne romanse. Generalnie - ślizgacze. Ot, taki sobie aktorzyzna, któremu na dłoniach porobiły się odciski od trzymania halabardy, jedzie na festiwal w Sopocie (koniec sierpnia), ale aklimatyzuje się nad morzem od połowy lipca. Stać go. Nad morze zresztą sunie ferrari, które mu kolega ot tak po prostu pożyczył. A major Downar, żeby się nie wyróżniać w tym kółeczku pożyczka na komendzie gdańskiej kremowego mercedesa dysponowanego tam

na szczególne okazje. A wraca już samolotem -- od razu nie było gdzie, bo na Saską Kępę, gdzie w willi (a jakże!) zadżgano kolejną panią bywałą w artystycznym światku. I śledztwo biegnie krętym tropem towarzyskim.

To jedno. A drugie to nasze ukochane detale z epoki. Jeżeli do pralni oddawano koszulkę (jeszcze nie nazywała się t-shirt) to po wykonaniu usługi robiono u dołu tuszem na czerwono nadruk identyfikujący pralnię. Więc rzecz niby wyprana, ale i przybrudzona. Kiedy dziewczyna zaproszona do kawiarni przez Downara życzy sobie "dżyn", ten wpada w popłoch, czy aby starczy mu pieniędzy na takie fanaberie. Dziewczyna "dżynu" była warta, bo uśmiech miała "jak z reklamy Kalodontu". Co do obcych nazw, to panie nie robią sobie tu makijażu, tylko "maquillage". Niby różnica żadna, ale zawsze lepiej brzmi. Zwłaszcza kiedy odwiedza się wzmiankowane w powieści "lokale kategorii "S" -- oczywiście siedlisko blichtru i nieróbstwa. Pada nawet w powieści postulat, aby poskrobać tych nierobów, skąd oni właściwie mają na ten pasożytniczy tryb życia, ale przełożeni wyjaśniają gorliwemu milicjantowi, że dla tego celu trzeba by zatrudnienie w milicji zwiększyć o 100%. A to przecież niedościgłe marzenie. Zdradzamy także, iż rzecz cała obraca się wokół przemytu heroiny. Ciekawe, kogo było w 1973 roku stać na taką fanaberię w kraju, gdzie jeden "dżyn" rujnował budżet oficera milicji. No i konkluzja, która z ust majora Downara wybrzmiewa na finał powieści: "Żeby skutecznie zwalczać alkohol, należy najprzód (tak pisane) zapoznać się dokładnie z jego działaniem na ludzki organizm". Święte słowa pana dobrodzieja!